

Marcin Kruszyński

Uniwersytet w Siedlcach

Ale historia!

„Szpieczy tacy jak my” – słowo o konsulu Janie Karszo-Siedlewskim

Po bolesnych doświadczeniach w PRL, związanych z działalnością aparatu przemocy, nie powinno dziwić, że współpraca z wywiadem czy samo słowo „agent” budzą w nas wyłącznie negatywne skojarzenia. Tymczasem tego typu aktywność diametralnie odmiennie oceniano w II Rzeczypospolitej. Wówczas kontakty z Oddziałem II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego (NDWP), przemianowanym później na Oddział II Sztabu Generalnego (od 1928 r. – Sztabu Głównego) – odpowiedzialnym właśnie za wywiad – były dowodem patriotycznej postawy oraz powodem do dumy.

Nad odrodzoną w 1918 r. Polską przez cały czas wisiało niebezpieczeństwo wojny z sąsiadami. Dlatego wiedza o nich, zwłaszcza wobec wielorakich słabości kraju, nabierała szczególnego znaczenia. W konsekwencji, od pracy dla tejże „Dwójki” nie uchylali się również najwyżsi rangą dyplomaci z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Skupię się na odcinku wschodnim i jednym, niezwykle pomysłowym konsulu. Dopowiedzmy jeszcze, że po tzw. aferze „Mor-Trust” z lat 20. XX w. (kiedy polska siatka szpiegowska w ZSRS stała się obiektem sowieckiej infiltracji i w konsekwencji została zlikwidowana) Oddział II musiał wręcz ograniczyć się do wykorzystania placówek dyplomatycznych i konsularnych jako „przykrywki” dla naszej ówczesnej służby wywiadowczej.

Bohaterem tej krótkiej opowieści jest Jan Karszo-Siedlewski (ur. 1891 r.), prawnik z wykształcenia, zatrudniony w MSZ już w 1919 r. 1 maja 1932 r. objął kierownictwo konsulatu w Charkowie, a po przeniesieniu stolicy Ukrainy Sowieckiej do Kijowa, od 1 sierpnia 1934 r. przewodził misji konsularnej w tym mieście. Karszo-Siedlewski sam zaferował swoje usługi wywiadowi. Oferta ta spotkała się z życzliwym przyjęciem i zapewne w lipcu bądź sierpniu 1932 r. konsul stanął na czele placówki wy-

wiadowczej o kryptonimie „Karsz”. Zgodnie z instrukcją Oddziału II „Karszowi” zalecano przygotowywanie analiz dotyczących sytuacji politycznej i ekonomicznej Ukrainy, opartych przede wszystkim na własnych obserwacjach. Czyli – mówiąc wprost – konsul miał robić mniej więcej to samo, co należało do jego rutynowych obowiązków w MSZ. Zaangażowanie wysokiego rangą przedstawiciela dyplomacji z jednej strony cieszyło, ale – w przypadku dekonspiracji – rodziło ryzyko wielkiego skandalu.

Dopiero w tym miejscu historia nabiera rumieńców, gdyż „Karsz” zdecydowanie nie widział siebie w roli drugoplanowej. Wręcz przeciwnie, chciał się wyróżnić. Ambicje osobiste przemieszały się tutaj bowiem z oddaniem dla ojczyzny. W konsekwencji Karszo-Siedlewski zasłynął z kilku intrygujących inicjatyw, które centralę „Dwójki” wprowadziły przynajmniej w zakłopotanie. Poniżej zaprezentuję dwie z nich, opisując na czym polegało urozmaicenie „wywiadowczej rutyny”.

W marcu 1933 r. dyplomata przedstawił projekt wybudowania przy gmachu konsulatu charkowskiego... kortu tenisowego. Pisał: „[...] dobry tenis z dobrymi zagranicznymi piłkami, szklanką

Szkice Podlaskie



herbaty lub czasem wina czy koniaku będzie dobrym pretekstem i atrakcją dla szeregu ludzi, dla obywateli sowieckich, jak i zagranicznych, którzy często chcą przyjść do nas, ale się boją, by ich nie posądzono o knowania”. Luźna atmosfera towarzysząca tego rodzaju spotkaniom miała sprzyjać większej otwartości osób przychodzących do polskiego konsulatu. Tyle że – przypomnijmy – akcja rozgrywała się w Związku Sowieckim, tj. w państwie, w którym zarówno własnych obywateli, jak i każdego obcokrajowca poddawano wszechogarniającej inwigilacji. Niemniej konsul przeforsował koncept kosztujący ówczesnego podatnika 11 tys. rubli. Czy wydatek ten się opłaci? W dostępnych źródłach natrafiamy na wzmiankę, że Karszo-Siedlewski grywał tylko z dwoma osobami. Chodziło o niejakiego Kołotnikowa, uznawanego przez naszego dyplomata za niezwykle cenną „zdobycz”, ponieważ – jak relacjonował centrali – „wszystko nam na mieście załatwi, co będzie trzeba”. Niejako mimochodem dodawał, że brat owego Kołotnikowa pracuje w OGPU. Drugim odwiedzającym korty stał się człowiek o nazwisku Kurganow, z którym Polak się „zaprzyjaźnił”. Takie same stosunki łączyły wkrótce małżonki obu panów. W rezultacie wszyscy spotykali się na kolacjach organizowanych w konsulacie, gdzie dla rozrywki urządzano nawet modne wtedy seanse spirytystyczne. O sytuacji tej alarmowali Warszawę podwładni konsula, przestrzegając, że „Kurganow jest znanym agentem (O)GPU”.

„Karsz” nie zrażał się niepowodzeniami i w 1934 r., już w Kijowie, zaproponował Oddziałowi II sfinansowanie zakupu... dwuosobowej motorówki w celu podróży do Dniepru do Morza Czarnego, „[...] a nawet brzegiem morza do Krymu”. Mimo trudności ze znalezieniem odpowiedniego modelu na początku 1935 r. udało się wreszcie zakupić 11-metrową łódź, obciążającą kieszeń polskiego podatnika – dla odmiany – o kolejne 12 tys. rubli. Jednakże wciąż powtarzające się kłopoty z silnikiem oraz wysokie wydatki związane z jego naprawami sprawiły, że statku nigdy nie wykorzystano do zaplanowanych celów.

Rodzi się pytanie, dlaczego tolerowano poczynania konsula? Gdy patrzymy na efekty jego kreatywności, z trudem przychodzi nam uwierzyć, że chodziło o podniesienie efektywności funkcjonowania polskiego wywiadu na wschodzie. Niewykluczone, że aprobowano chybione inicjatywy Karszo-Siedlewskiego, chcąc w ten sposób pozyskać jego przychylność dla aktywności rzeczywistych agentów „Dwójki”. Hipoteza ta jest o tyle prawdopodobna, że częstokroć konsulowie polscy w Związku Sowieckim, z różnych przyczyn, utrudniali życie polskim agentom. Dodajmy, że np. poprzed-

nik Karszo-Siedlewskiego w Charkowie, Adam Stebłowski, był w tej dziedzinie niedoścignionym mistrzem.

Najnowsze badania pokazują, że w latach 1932-1934, oprócz konsula, w charkowskim przedstawicielstwie działało przynajmniej sześciu innych współpracowników „Dwójki”; w kijowskim zaś (1934-1936) – co najmniej dziesięciu. Bohater tej opowieści nigdy nie czynił im żadnych trudności. W jednym z pism Oddziału II do Karszo-Siedlewskiego z 1935 r. możemy przeczytać: „Dziękujemy za stosunek Pana do nas [...] Placówka Pana [tj. konsulat – M.K.] jest jedną z niewielu, na której współpraca agentów układa się bez kolizji”. Więcej, dyplomata dopominał się (co należało do absolutnych wyjątków), żeby przysyłać do niego większą liczbę wywiadowców.

Wywiadowcza przygoda Jana Karszo-Siedlewskiego dobiegła końca około grudnia 1936 r. Kilka miesięcy potem opuścił on ZSRS. Zdaje się, że głównym powodem odwołania ze stanowiska były zaobserwowane symptomy załamania nerwowego. Rzeczywistość sowiecka dawała mu się we znaki. W jednym z raportów opisywał natarczywość śledzących go przedstawicieli tamtejszego aparatu przemocy: „[...] Zwracam uwagę na bezczelność naszych ‘opiekunów’ w ostatnich czasach [...]. ‘Opiekunowie’ chodzą za nami krok w krok i potrafią np. wejść za nami do księgarni i przeglądać książki, które dopiero wybieramy”.

W 1938 r. Karszo-Siedlewski otrzymał nominację na stanowisko posła w Teheranie. W latach 1942-1943 kierował konsulem w Bejrucie. Tymczasem Oddział II finalnie odniósł sukces, bo faktycznie reszta „dwójkarzy” za kadencji „Karsza” miała się całkiem nieźle. Do sukcesu nie ma żadnej windy, trzeba iść po schodach – mówi znane powiedzenie. Opisany tu pokrótce epizod dowodzi, że w okresie międzywojennym kierunek wschodni należał do najtrudniejszych w pracach MSZ oraz polskiego wywiadu. Nic pod tym względem nie zmieniło się do dzisiaj.